

KENNETH CLARK

Cywilizacja

WŁASNY PUNKT WIDZENIA

Tłumaczyła Anna Arno



Warszawa 2022

Kenneth Clark, *Civilisation*

Copyright © Kenneth Clark, 1969
All rights reserved

Copyright © for the translation by Anna Arno
Copyright © by Wydawnictwo Próby
Warszawa 2022

ISBN 978-83-964622-2-0

Uśmiech roзумu

We foyer Komedii Francuskiej, teatru narodowego Francji, stoją popiersia dramaturgów, którzy święcili sukcesy w XVIII-wiecznym Paryżu. Dziś może nas to dziwić, ale przez sto lat scena ta walnie przyczyniała się do krzewienia rozsądku i humanistycznych uczuć. Cóż to za bystre, inteligentne twarze! Najbystrzejszy z nich jest Wolter: w pewnym sensie był to najinteligentniejszy człowiek wszystkich czasów. Uśmiecha się i jest to uśmiech rozumu. Być może podobny stan umysłu prezentował już wcześniej francuski filozof Fontenelle, który dożył niemal stu lat i przerzucił pomost między XVII i XVIII stuleciem – połączył światy Newtona i Woltera. Piastował stanowisko dożywotniego sekretarza Francuskiej Akademii Nauk. Wyznał kiedyś, że skutecznie unikał pośpiechu, nigdy też nie pozwolił wyprowadzić się z równowagi. Przyjaciel zapytał go, czy kiedykolwiek się śmiał. Odparł: „Nigdy nie rechotałem”.

Ale na pewno się uśmiechał, podobnie jak inni wybitni pisarze, filozofowie, dramaturdzy czy bywalcy salonów francuskiego XVIII stulecia: Crébillon, Diderot, Marivaux i d'Alembert.

Taka postawa może nam się wydać płytka, bowiem przez ostatnich pięćdziesiąt lat pozwoliliśmy sobie na wiele. Uważamy, że ludzie powinni być namiętni, przekonani o swoich racjach – albo, jak się mawia ostatnimi czasy, zaangażowani. Być może więc ten cywilizowany uśmiech XVIII-wiecznych Francuzów przyczynił się do tego, że idea cywilizacji popadła w niełaskę. Zapomnieliśmy jednak, że mimo wszelkich przejawów geniuszu w sztuce i naukach w XVII wieku wciąż trwały ślepe prześladowania i brutalne wojny, prowadzone z nadzwyczajnym okrucieństwem. W 1700 roku ludzie zdali sobie sprawę, że przydałaby się im odrobina spokoju i dystansu. Uśmiech rozumu może oznaczać brak wycucia głębszych ludzkich emocji, ale nie wyklucza silnych przekonań – wiary w prawo naturalne, w sprawiedliwość i przebaczenie. To nie najgorsze zestawienie. Filozofowie oświecenia podnieśli cywilizację o kilka stopni wyżej, a ich osiągnięcia obowiązywały teoretycznie na przestrzeni całego XIX stulecia. Aż do lat trzydziestych wieku XX było oczywiste, że nie pali się czarownic ani przedstawicieli mniejszości, nie wydobywa się zeznań torturami, nie nagina się prawa i nie wtrąca ludzi do więzienia, bo mówią prawdę. Może z wyjątkiem czasów wojny. Zawdzięczamy to prądowi zwanemu oświeceniem, a szczególnie zasługi ma w tym względzie Wolter.

Chociaż zwycięstwo rozumu i tolerancji wywalczono we Francji, wszystko zaczęło się w Anglii, a francuscy filozofowie nigdy nie ukrywali, jak wiele zawdzięczają krajowi, który w ciągu jednego dwudziestolecia wydał Newtona, Locke'a i Chwalebną Rewolucję. Prawdę mówiąc, raczej przeceniali zakres politycznej wolności w Anglii

i siłę oddziaływania angielskich literatów. Kiedy jednak Monteskiusz i Wolter przybyli do Anglii w latach dwudziestych XVIII wieku, kraj miał za sobą półwiecze ożywionego życia intelektualnego. I chociaż Swift, Pope, Steele i Addison w swoich tekstach mogli się wyzłośliwiać i sami nieraz obrywali, nie napadały na nich wynajęte gangi obrażonych dżentelmenów ani nie wtrącano ich do więzienia (z wyjątkiem Defoe) za satyryczne aluzje do rządu. Obie te przykrości spotkały Woltera i to właśnie z ich powodu schronił się w Anglii w 1726 roku.

Wiek XVIII był czasem ogromnych wiejskich rezydencji. W 1722 najwspanialsza z nich została zbudowana dla generała Marlborough, który właśnie odniósł zwycięstwo nad ojczyzną Woltera: ale taka myśl nie martwiła filozofa, bo wszelkie wojny uważał za próżny trud i żalosne marnowanie ludzkiego życia. Na widok Blenheim Palace powiedział: „Cóż to za kupa kamieni, bez smaku i wdzięku”. Wiem, co miał na myśli. Każdemu, kto wychował się na architekturze Mansarta i Perraulta, Blenheim Palace musiał wydać się boleśnie pozbawiony porządku i dobrego smaku. Jest tu kilka znakomitych pomysłów, ale nie zawsze szczęśliwie ze sobą złączonych. Być może wynika to z tego, że architekt, sir John Vanbrugh, choć genialny, był w gruncie rzeczy amatorem. Poza tym był romantykiem z natury, budowniczym zamków, lekceważącym dobry gust i dekorum.

XVIII-wieczna Anglia była rajem dla amatorów. Mam tu na myśli ludzi na tyle bogatych i dobrze urodzonych, że mogli robić to, na co mieli ochotę, a jednak zajmowali się sprawami, które wymagały sporego doświadczenia. Jedną z nich była architektura. Wren zaczął karierę jako zdolny amator i chociaż został profesjonalistą, zachował charakterystyczną dla amatora swobodę w podejściu do każdego problemu. Również dwaj jego główni następcy byli pod każdym względem amatorami. Sir John Vanbrugh pisał

sztuki, a lord Burlington był koneserem, kolekcjonerem i arbitrem elegancji – dziś to zniechęcony typ ludzki. Zbudował między innymi Chiswick House, małe arcydzieło architektury mieszkalnej. Kiedy podziwiamy genialne połączenie zewnętrznych schodów z portykiem, możemy się zastanawiać, ilu zawodowych architektów z równą wprawą jak lord Burlington poradziłoby sobie dzisiaj z podobnymi kłopotami. Oczywiście to tylko miniatura. Za portykiem znajduje się budynek rozmiarów starej plebanii, który nie był przeznaczony do codziennego życia, ale służył jako miejsce na przyjęcia, do rozmów, snucia intryg, głoszenia politycznych plotek i muzykowania.

XVIII-wieczni amatorzy byli w pewnym sensie spadkobiercami ideału człowieka renesansu. Leon Battista Alberti, wszechstronny renesansowy umysł, był również architektem i o ile architekturę nadal możemy uznawać za sztukę społeczną – czyli taką, która pozwala człowiekowi żyć pełniej – to jej twórca powinien na różne sposoby podtrzymywać związek z życiem i nie wybierać zbyt wąskiej specjalizacji.

XVIII-wieczne amatorstwo dotyczyło wszystkich dziedzin: chemii, filozofii, botaniki i historii naturalnej. Ukształtowało takie osoby jak niestrudzony sir Joseph Banks (który odmówił udziału w drugiej podróży kapitana Cooka, jeśli nie będzie mógł zabrać dwóch muzyków grających na rogach, którzy przygrywaliby mu do kolacji). Ci ludzie mieli świeżość i swobodę umysłu, którą nieraz się traci przy nazbyt ścisłych profesjonalnych podziałach. Byli przy tym niezależni, ze wszystkimi zaletami i wadami wynikającymi z tej sytuacji. Nie pasowaliby do naszej współczesnej utopii. Słyszałem ostatnio, jak profesor socjologii powiedział w telewizji: „Co nie jest zabronione, powinno być obowiązkowe”. Taka propozycja nie zaciekawiałaby odwiedzających Anglię znamienitych gości, Woltera i Rousseau, których inspirowały nasza filozofia, instytucje i nasza tolerancja.

Ale jak zwykle była też druga strona medalu. Jej nadzwyczaj żywy ślad zapisał się w dziełach Hogartha. Nie jestem miłośnikiem Hogartha, bo w jego obrazach zawsze panuje zamęt. Najwyraźniej brakowało mu wyczucia przestrzeni, które ma nawet przeciętny holenderski malarz XVII wieku. Trudno mu jednak odmówić daru narracyjnej inwencji. W późniejszym okresie wykonał on cykl obrazów przedstawiających wybory parlamentarne, w których to pracach lepiej poradził sobie z kompozycją niż w *Karierze rozpustnika*. Te dzieła tworzą przekonujący komentarz do naszego wypaczonego systemu politycznego. Pokazał nam kabinę wyborczą, gdzie niedorozwinięci i ciężko chorzy są namawiani do głosowania. Zwycięski kandydat, niczym tłusty, upudrowany kapłan, jest triumfalnie obnoszony przez przybocznych osiłków, kontynuujących swoje prywatne utarczki. Muszę przyznać, że uwalniam się od uprzedzeń wobec Hogartha dzięki postaci niewidomego skrzypka: oto prawdziwy błysk wyobraźni, który wykracza poza zwykły zakres moralizującego dziennikarstwa.

Prawda jest zapewne taka, że w XVIII-wiecznej Anglii, w wyniku rewolucji klasy średniej, powstały dwie bardzo od siebie odległe grupy społeczne. Jedną z nich to towarzystwo skromnych prowincjonalnych dżentelmenów, których wizerunek doskonale utrwalił malarz o nazwisku Devis – w swoich chłodnych, pustych pokojach wydają się zabawnie sztywni i pozbawieni wyrazu. Drugą grupę wielokrotnie pokazywał Hogarth, a stworzony przez niego wizerunek znajduje potwierdzenie w sztukach jego przyjaciela Fieldinga. Oglądamy tumult zwierzęcych namiętności, ale żadną miarą nie możemy tego nazwać cywilizacją. Mam nadzieję, że nie wywołam sprzeciwu, jeśli porównam rycinę Hogartha *Nowoczesna rozmowa o północy* z namalowanym w tej samej dekadzie obrazem francuskiego artysty de Troy, *Czytanie Moliera*. W dotychczasowych rozważaniach starałem się wyjść poza

wąskie rozumienie słowa „cywilizowany”. Ma ono jednak pewną wartość: nie sposób zaprzeczyć, że obraz de Troy przedstawia cywilizowane życie. Nawet meble są tutaj piękne, a zarazem cywilizowane. Jeden z powodów jest taki, że podczas gdy wszyscy bohaterowie *Nowoczesnej rozmowy o północy* Hogartha to mężczyźni, pięć spośród siedmiu postaci u de Troy stanowią kobiety.

Kiedy opowiadałem o XII i XIII wieku, podkreślałem, jak wielki postęp cywilizacyjny osiągnięto wówczas dzięki temu, że doceniono zalety kobiece. To samo zdarzyło się we Francji w wieku XVIII. Uważam, że zasadniczą sprawą dla cywilizacji jest utrzymanie w równowadze pierwiastków męskiego i kobiecego. W XVIII-wiecznej Francji wpływ kobiet był, najogólniej rzecz biorąc, pozytywny; to one stworzyły dziwaczną XVIII-wieczną instytucję salonu. Te małe grupki inteligentnych mężczyzn i kobiet z całej Europy, którzy spotykali się na zaproszenie utalentowanych gospodyń, jak Madame du Deffand czy Madame Geoffrin, przez czterdzieści lat tworzyły centrum europejskiej cywilizacji. Te zgromadzenia były mniej poetyckie niż dwór w Urbino, ale znacznie żywsze intelektualnie. Damy, które wodziły prym, nie były najmłodsze ani też nadzwyczaj zamożne: wiemy dokładnie, jak wyglądały, bo francuscy artyści, jak Perronneau czy Maurice-Quentin de La Tour, przedstawiali je bez retuszu, ale w mig potrafili uchwycić subtelności inteligencji. Tylko w bardzo cywilizowanym społeczeństwie damy mogły wybierać takie wizerunki zamiast błyszczącego fałszu modnych portretów.

Jak to się stało, że kobiety osiągały taką pozycję? Pomagała im życzliwość, takt, zdolność wprawiania ludzi w dobry nastrój. Niewątpliwie samotność jest konieczna filozofowi czy poecie, ale pewne życiodajne myśli rodzą się w rozmowie, a prawdziwa rozmowa jest możliwa tylko w wąskim gronie, gdzie nikt nie czuje się przytłoczony. Takie warunki

nie mogą zaistnieć na dworze i sukces paryskich salonów w znacznej mierze polegał na tym, że dwór i rząd Francji miały siedzibę nie w Paryżu, lecz w Wersalu. To był osobny świat; wersalscy dworzanie określali go zawsze jako *ce pays-ci* – ten nasz kraj. Do dziś na potężny, nieprzyjazny dziedziniec Wersalu wchodzę z uczuciem paniki i przytłoczenia – czuję się trochę jak uczeń w pierwszym dniu szkoły. Dla porządku muszę dodać, że nawet w XVIII wieku, kiedy minął okres jego intelektualnej chwały, zamknięte wersalskie towarzystwo wydało zachwycające dzieła architektury. Petit Trianon, który wybitny architekt Ange-Jacques Gabriel zbudował dla Ludwika xv, jest tak bliski doskonałości, jak to tylko możliwe. Oczywiście samo słowo „doskonałość” zakłada ograniczony cel, ale również sugeruje dążenie do ideału. W żadnej z licznych imitacji tej budowli nie udało się osiągnąć takiego taktu, opanowania i delikatnej precyzji w każdym elemencie pięknej fasady; minimalna zmiana sprawia, że stają się banalne, wystarczy odrobinę zbyt mocny akcent, aby nadać im wulgarny wyraz.

Kiedy jednak przeniesiemy uwagę ze sztuki projektowania na rozrywki intelektualne, zdamy sobie sprawę, że życie w XVIII-wiecznym Wersalu okazało się pod tym względem ubogie, zaś paryskie towarzystwo pozostawało szczęśliwie wolne od ogłupiających rytuałów dworskiej etykiety i trywialnych intryg politycznych. Kolejnym czynnikiem, który uchronił XVIII-wieczne salony od nadmiaru lizusostwa i pompatyczności, było to, że francuskie klasy wyższe nie były przytłaczająco bogate. Straciły masę pieniędzy w krachu spowodowanym przez finansowego manipulatora, Szkota Johna Lawa. Pewien margines zamożności służy cywilizacji, ale z jakiegoś tajemniczego powodu ogromne bogactwo ją niszczy. W gruncie rzeczy przepych działa dehumanizująco, a świadomość ograniczeń jest warunkiem tego, co nazywamy dobrym gustem.

Przykładem jest tu Chardin, największy francuski malarz połowy XVIII wieku. Nikt nigdy nie miał pewniejszego wycucia koloru i kompozycji. Każdy skrawek, każdy interwał, każdy ton wydaje się doskonale wyważony. Owszem, Chardin nie malował klas wyższych, nie wspominając nawet o dworze. Czasami znajdował tematy wśród wyższego mieszczaństwa, pokazywał, jak się ubierają albo rozmawiają z dziećmi. Bywało, że malował klasy pracujące – i to sprawiało mu chyba największą radość, lubił bowiem nie tylko ludzi, ale też garnki i beczki. Mają one w sobie zasadniczą szlachetność kształtu właściwą dla przedmiotu, który w niezmiennej formie musiał służyć człowiekowi przez wiele stuleci. Obrazy Chardina dowodzą, że cnoty unieśmiertelnione w strofach La Fontaine'a i Moliere'a – rozsądek, dobre serce, prostota i delikatność ludzkich relacji – przetrwały aż do połowy XVIII wieku i trwają do dziś na francuskiej prowincji oraz w tym, co Francuzi nazywają *artisanat*.

Salony, na których spotykały się najbystrzejsze umysły Francji, były bardziej wykwintne, ale nie przytłaczające. Pokoje miały zwyczajne rozmiary, a dekoracje (bowiem w tamtych czasach ludzie nie potrafili żyć bez zdobień) nie były tak wybujałe, aby wymuszać oficjalną etykietę. Ludzie mogli poczuć, że łączą ich naturalne, ludzkie stosunki. Mamy pełny obraz życia we Francji około połowy XVIII wieku, bo choć poza Chardinem nie było wybitnych malarzy, wprost roilo się od artystów średnich, jak choćby Moreau le Jeune, którzy chętnie przedstawiali współczesne wydarzenia. Dzięki temu po dwustu latach wciąż są dla nas ciekawi – nie będzie tak z artystami, którzy pragną „wyrzucić siebie”. XVIII-wieczni mali mistrzowie pokazują nam każdą godzinę z życia młodej damy: jak zakłada pończochy przed kominkiem, odwiedza przyjaciółkę, która ma wkrótce urodzić (*N'ayez pas peur, ma bonne amie*), daje dzieciom *canard* – umoczoną w kawie kostkę cukru.

Dama trajkocząca na podwieczorku muzycznym (*Un peu de silence, s'il vous plaît*) otrzymała miłosny liścik od młodego wielbiciela, pokazała się też w operze we wspaniałej toalecie, a następnie znużona położyła się spać.

Chyba tylko zrzęda albo hipokryta nie przyznałby, że to przyjemne życie. Dlaczego tak wielu z nas instynktownie reaguje na nie niechęcią? Czy dlatego, że uważamy, że jest oparte na wyzysku? Czy naprawdę sięgamy myślą aż tak daleko? Jeśli rzeczywiście tak się dzieje, to zachowujemy się trochę tak, jakbyśmy współczuli zwierzętom, nie będąc wegetarianami. Całe nasze społeczeństwo opiera się na rozmaitych formach wyzysku. A może uznajemy, że podobne życie musiało być trywialne i płytkie? A to zwyczajnie nieprawda. Ludzie, którzy żyli w ten sposób, nie byli głupcami. Talleyrand powiedział, że tylko ci, którzy poznali życie towarzyskie XVIII-wiecznej Francji, zakosztowali *douceur de vivre* – słodczy życia – a był przecież jednym z najinteligentniejszych ludzi, jacy kiedykolwiek zajęli się polityką. Bywalcy salonów XVIII-wiecznej Francji to nie modne rozrywkowe towarzystwo: byli wśród nich najwybitniejsi filozofowie i uczeni tamtej epoki. Chcieli głosić swoje rewolucyjne poglądy na religię. Pragnęli ograniczyć władzę leniwego króla i nieodpowiedzialnego rządu. Chcieli zmienić społeczeństwo. W końcu dopięli swego, a nawet osiągnęli więcej, niż sobie życzyli, ale taki bywa los skutecznych reformatorów.

Ludzie, którzy spotykali się na salonach Madame du Deffand i Madame Geoffrin, pracowali nad wielkim dziełem – encyklopedią, czy też *Dictionnaire raisonné des sciences, des arts et des métiers*. Miała ona przynieść ludzkości postęp poprzez walkę z ciemnotą. Raz jeszcze pomysł został przeszczepiony z Anglii, gdzie w 1751 roku ukazała się Encyklopedia Chambersa. Było to potężne przedsięwzięcie – ostatecznie wyszły dwadzieścia cztery tomy i było

w nie zaangażowanych wielu autorów; siłą sprawczą całego przedsięwzięcia był jednak Diderot. Widzimy go na obrazie Van Loo z uśmiechem rozumu na ustach. Ten portret wyprowadzał go z równowagi: twierdził, że wygląda jak stara kokota, która jeszcze chce się podobać. Był skomplikowanym i wybitnie inteligentnym człowiekiem, powieściopisarzem, filozofem, nawet krytykiem sztuki, orędownikiem Chardina – w Encyklopedii pisał artykuły o wszystkim, od Arystotelesa po sztuczne kwiaty. Jedną z jego zalet było to, że nigdy nie wiadomo, co zrobi czy powie za chwilę. Wiek XVIII dałoby się podsumować na podstawie pism Diderota.

Cele Encyklopedii wydają nam się dosyć niewinne. Jednak autorytarne rządy nie lubią słowników. Żywią się kłamstwami i otumaniającymi abstrakcjami. Nie mogą pozwolić na dokładne definiowanie pojęć. Encyklopedia dwukrotnie trafiała na indeks. Jej ostateczny triumf sprawił, że kulturalne spotkania na eleganckich salonach stały się zarzewiem rewolucyjnych ruchów politycznych. Były również domeną nauki. Ilustrowany suplement do Encyklopedii pełen jest ilustracji, przedstawiających techniczne procesy, z których większość, muszę przyznać, niemal nie zmieniła się od czasów renesansu. Jak widać w dziełach Wrighta of Derby, w ostatnim ćwierćwieczu XVIII wieku nauka była modna i miała w sobie coś romantycznego. Jego obraz przedstawiający doświadczenie z pompą próżniową prowadzi nas ku nowemu stuleciu wynalazków. To wybitny przykład malarstwa narracyjnego; widzimy długowłosego filozofa przyrody ze skupionym spojrzeniem oraz dziewczynki, które nie mogą patrzeć na śmierć swojej papużki; rozważny pan w średnim wieku tłumaczy im, że podobne ofiary są konieczne dla dobra nauki. Z kolei zamyślony mężczyzna po prawej zastanawia się, czy tego rodzaju doświadczenie rzeczywiście przysłuży się ludzkości. Wszyscy

rozmawiają dosyć poważnie; mimo to nauka była do pewnego stopnia poobiednią rozrywką, podobnie jak sto lat później gra na fortepianie. Nawet Wolter, który spędził mnóstwo czasu na ważeniu stopionego metalu i krojeniu robaków, był tylko dyletantem. Brakowało mu cierpliwego, przyziemnego realizmu eksperymentatora, ale być może takim uporem wykazują się raczej ludzie, którzy mniej cenią sztukę błyskotliwej konwersacji.

W XVIII wieku takie środowisko pojawiło się w kraju, gdzie cywilizacja zachowała jeszcze energię świeżości – w Szkocji. Szkocki charakter (sam jestem Szkotem) to niezwykła mieszanka realizmu i rozbuchanych uczuć. Te ostatnie obrosły legendą. Szkoci są z nich wręcz dumni i nic w tym dziwnego. Gdzie, z wyjątkiem Edynburga, romantyczny krajobraz wchodzi do centrum miasta? Liczy się jednak realizm i to on sprawił, że XVIII-wieczna Szkocja – biedny, daleki i na wpół barbarzyński kraj – została ważnym graczem europejskiej cywilizacji. Przywołam tu kilku XVIII-wiecznych Szkotów, którzy działali w świecie idei i nauki: Adam Smith, David Hume, Joseph Black i James Watt. Jest historycznym faktem, że właśnie ci ludzie krótko po 1760 roku zmienili kurs europejskiego myślenia i życia. Joseph Black i James Watt odkryli, że ciepło, przede wszystkim para wodna, mogą być źródłem energii – i nie muszą tłumaczyć, jak to przeobraziło świat. W *Bogactwie narodów* Adam Smith stworzył podstawy ekonomii politycznej oraz położył podwaliny nauki społecznej, która trwała aż do czasów Karola Marksa, a nawet dłużej. W swoim *Traktacie o naturze ludzkiej* Hume zdołał dowieść, że doświadczenie i rozum nie muszą być ze sobą związane. Nie ma racjonalnych przekonań. Hume, jak sam o sobie mówił, był otwartą, towarzyską i pogodną osobą; lubiły go damy z paryskich salonów. Zapewne nigdy nie czytały tej małej książeczki, która do dziś wprawia w zakłopotanie każdego filozofa.

SPIS RZECZY

Przedmowa /	5
O mały włos /	11
Wielka odwilż /	33
Romans i rzeczywistość /	57
Człowiek miarą wszystkich rzeczy /	78
Artysta bohater /	97
Protest i komunikacja /	113
Potęga i posłuszeństwo /	132
Światło doświadczenia /	148
Dążenie do szczęścia /	168
Uśmiech rozumu /	186
Religia natury /	205
Nadzieja oszustka /	225
Materializm heroiczny /	248
Przypisy /	273
Indeks osób /	277
Indeks miejsc /	289

WYDAWCA
Wydawnictwo Próby
Warszawa 2022

REDAKCJA
Mikołaj Nowak-Rogoziński, Marek Zagańczyk

INDEKSY
Agnieszka Papieska

KOREKTA
Bartosz Choroszewski

PROJEKT GRAFICZNY
Janusz Górski

DTP
Krzysztof Gotowicki

DRUK I OPRAWA
Pozkał, Inowrocław

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Znak i sygnety wydawnictwa Próby oraz koncepcję graficzną
i typograficzną serii „Wędrowiec” opracował Janusz Górski.
Autorami sygnetów serii są Grzegorz Cofta, Katarzyna Górka
i Janusz Górski.

WYDAWNICTWO PRÓBY
00-029 Warszawa, ul. Nowy Świat 33 m. 15
tel. (22) 657 10 44
biuro@wydawnictwoprobey.pl
www.wydawnictwoprobey.pl